TEATR ROBIN'A W PARYŻU.

Pomimo tego wszystkiego co mówią ludzie gderliwi lub poważni aż do pedantyzmu, przeciwko popularnym wykładom nauki, muszą one mieć swoje zadanie w obecnéj chwili, gdyż się upowszechniają coraz bardziéj. Są one twierdząc, że to bawidełko niegodne naukowego wykładu. Lecz ja ośmielam się być zdania przeciwnego, znajduję bowiem, że nic nie ma niegodnego, co naukę zrozumialszą czyni. Nie jedno doświadczenie fizyczne byłoby niedostę-



Sposób w jaki pokazują widma na teatrze Robin'a w Paryżu.

jakby duchową biesiadą, do któréj przystępują wszyscy maluczcy. Wykład taki nie jest bynajmniéj środkiem do nabycia wiedzy rozległéj, ale często do niéj pobudką; młody słuchacz zapalić się może do któréj z gałęzi nauki, którą potém z korzyścią dla społeczeństwa uprawiać będzie, starszy znajduje tu sposobność nie pozostania ze swemi wiadomościami w tyle za postępem, słowem, ogół choćby najciemniejszy podziwiając cuda naukowych zdobyczy, podane mu w najprzystępniejszéj formie, uczy się szanować to co najwyższą chwałę człowieka stanowi. Pismo perjodyczne Kosmos, potępiało niedawno używanie światła elektrycznego przy tłómaczeniu zjawisk natury na posiedzeniach wieczornych w Sorbonie

pne dla oczu tysiąca zgromadzonych osób, gdyby go za pomocą światła elektrycznego nie odbito na białéj tablicy, wśród ściemnionéj chwilowo sali i pytam się co to w tém za szarlatanerja, że przy wykładzie o gwiazdach mglistych, pan Briot pokazał na téjże tablicy, kształty w jakich się one oczom ludzkim przedstawiają, lub że Claude Bernard mówiąc o sercu (*) i nieustającéj jego kommunikacji za pomocą nerwów z mózgiem, pokazał takimże sposobem odwzorowane wnętrze człowieka, tak dokładnie, że je podziwiali ludzie specjalni.

(*) Znakomita ta lekcja była drukowaną w *Revue des deux monde* z dnia 1 marca r. b. pod tytułem: *La phisiologie du coeur.*

Z tego zapatrując się punktu, nie mogę nieprzyznać wartości teatrowi z bulwaru *du Temple*, wartości zresztą uznanéj przez kompetentniejszych odemnie. Cała prassa francuzka oddała w swoim czasie sprawiedliwość panu Robin; jego wiadomości, jego wyborne narzędzia fizyczne, mogą się bezwątpienia przyczynić do rozprzestrzenienia pojęć naukowych w massach i słusznie wyraził się *Constitutionnel*: „Dla ogółu co tak łatwo ziewa, zbytecznym byłby systematyczny wykład, idzie przedewszystkiém o rozwinięcie myśli, o rozbudzanie zamiłowania do nauki, robiąc przed oczyma publiczności niektóre z tych świetnych doświadczeń, które imponują wyobraźni i budzą uwielbienie. Jest to środek do rozpowszechnienia ogolnéj oświaty: ciągle powtarzając siejbę, zbiera się nareszcie owoce.“

Takie tedy piętno naukowe mają przedstawienia Robin'a. Od r. 1844 zajmuje on niemi publiczność europejską. Nie ma, zdaje się głowy ukoronowanéj przed którąby się nie popisywał, a niedawno cesarzowa Eugenia wyprawiając ucztę na Ś. Karol (*) dla uczni różnych lyceów w imieniu swego syna, zaprosiła do Tuilerjów pana Robin z całym jego przyrządem i wespół z małemi biesiadnikami, przypatrywała się z wielkiém zajęciem wszystkim doświadczeniom fizyki, zwanéj tu *zabawną*.

Sala czyli teatrzyk z bulwaru *du Temple* jest bardzo dobrze urządzony, kurtyna podnosząc się ukazuje scenę pełną światła, złoconych mebli, przyrządów do doświadczeń i liczne zbiory arcydzieł mechanicznych. Co to za ciekawy automat ten paw, który na rozkaz kłania się publiczności, rozwija ogon, pije i dzielnie łyka ziarna prosa, albo ten bęben mający być spuścizną po Zuawie poległym pod Inkermanem, który bębni (sam z siebie) dźwiękiem ponurym, jakby to czynił duch jaki w nim zaklęty, słowem występuje tu cały świat czarnoksięzki, za któryby nie daléj, jak przed sto laty, autora spalono na stosie.

Wyznaję że pierwsze ustępy wykazujące tylko wprawnego prestidigitatora, nie zajęły mnie wielce. Sztuki z kwotami, które wynajdował zręczny automat wyobrażający chłopca były nie tak znów nadzwyczajne, pączyk ciągle palący się, który p. Robin zrobił przed naszemi oczyma niewiedzieć z czego i im więcéj nam rozdawał, tém go więcéj przybywało, był bardzo smaczny, chociaż nie jeden z widzów, z wyraźnem wahaniem przykładał do ust kieliszek, jakby się w tém diabelska robota święciła, ale dział prawdziwie zajmujący zaczął się z doświadczeniami fizycznemi, których tak świetnych i dokładnych, na niejednym naukowym kursie nie zobaczy. Machina Ruhmkorfa od niedawnego czasu zastosowana do przemysłu i robót publicznych, przyrząd p. de la Rive służący do naśladowania i wytłómaczenia zorzy północnéj, oraz doświadczenia z rurkami Geislera, które się nie zawsze tak udają panu Becquerel profesorowi w Muzeum historji naturalnéj, wszystko to przesunęło się w zajmujący sposób przed naszemi oczyma. Tu warto się wdać w większe szczegóły. Czarna tablica spuszcza się z góry, a na niéj cyfry, pasy, gwiazdy z rurek szklannych złożone. W tych rurkach zamiast powietrza są gazy, z których każdy innym jaśnieje kolorem, skoro przez nie przepuszczoną zostanie iskra elektryczna. Inne znów rurki wypełnione siarkiem barytu, strontynu i t. p. dłużéj błyszczącemi pozostają. Tak pokazawszy działalność elektryczności, p. Robin przechodzi do optyki.

Teatr się jeszcze bardziéj ściemnia, kurtyna podnosi, a tuż za nią odkrywa druga, przezroczysta. Na tém płótnie skutkiem perspektywy i umiejętnego oświetlenia, występują najczarowniejsze obrazy i po chwili nikną ustępując miejsca innym. Ja widziałam przedstawioną w takich obrazach całą historję Paryża, począwszy od czasu kiedy grunt na którym powstał był lasem w którym druidowie mieli swoich bóstw ołtarze. Daléj wystąpiło ma. miasteczko Lutecja w około otoczone ramionami Sekwany, a na jéj brzegu pałac i obóz rzymskich cesarzów. Daléj kruszenie bałwanów, oraz chrzest Klodoweusza i pełno innych ważniejszych ustępów historji Francji, których Paryż był widownią. Między innemi obraz wzgórza ze sławnemi szubienicami (*gibets de Montfaucon*), na których długo trzymano po kilku wiszących winowajców dla postrachu żyjących, a które jest dziś właśnie tym wspaniałym placem bulwaru, gdzie niedaleko teatr Robin'a. Rzeź śgo Bartłomieja ukazuje się z hukiem strzałów, na tle budynków Luwru, otoczonych jak niegdyś fosami, ponurych w swéj grozie majestatycznéj. Są tedy obrazy z różnych epok, aż do straszliwego powrotu z pod Moskwy, których znaczenie objaśnia donośny głos kobiecy, saméj zaś jéj postaci widzowie pogrążeni w ciemnościach dostrzedz nie mogą. Występuje także plan Paryża w przezroczu, w którego środku zakreślone staréj Lutecji granice, innym znowu kolorem to co powiększyło obręb jego, za Karlowingów, za Filipa Augusta, Ludwika XIV i t. p. Ostatnie powiększenie za cesarza Napoleona III, najznaczniejsze i głosik kobiecy nie zaniedbuje dodać: „To co pięćset wieków nie zrobiło dla Paryża, dopełniło się pod ostatniém panowaniem.“

Równie piękne mają być na innych reprezentacjach pokazywane widoki wstępowania na Mont-Blanc, oraz Neapolu i Wezuwiusza w pełnym wybuchu, ziejącego z przerażającą prawdą dym, lawę i rozpłomienione kamienie. Ale co jest najbardziéj zajmujące i wykonane z prawdziwie naukową ścisłością, to widoki stopniowego tworzenia się ziemi. P. Robin

(*) Karol Wielki beatyfikowany po śmierci, jest patronem szkół francuzkich, dbał bowiem bardzo za życia o ich rozkrzewienie. W każdem lyceum jest zwykle czczony rekreacją.

trzymał się tego co podaje kosmologja, a ma sam zbiory ciekawe skamieniałości, którychby mu nie jeden paleontolog pozazdrościł, przytém posiłkował się rysunkami zdjętemi w najpierwszych europejskich zbiorach tego rodzaju i wczytał w prace najznakomitszych uczonych. Wszyscy przeto zgadzają się na jedno twierdzenie, że trudno usłyszyć dokładniejszą lekcję geologji, w bardziéj zajmujących obrazach. Zaczyna się od wirującego w przestworzach płonącego gazu, z którego się tworzy płynna jeszcze i żarząca kula. Daléj wieki prowadzą robotę oziębiania, wody w kształcie pary wznoszą się i opadają, wewnętrznym zamętem wyrzucone granity, przebijają cienką skorupę zwierzchnią i szykują się w owe imponujące gór łańcuchy, niby przyszłéj planety szkielet. Potém występuje owa olbrzymia roślinność co spalona, wyziewami bitumicznemi przesiąkła, ułożyła się w olbrzymie pokłady kamiennego węgla, ogromne dziś znane tylko ze szczątków ichtiosaurusy, pterodaktyle, żółwie potworne, arraonity wielkie jak koła od wozów, wszystko przesuwa się w zamęcie i innym stworzeniom ustępuje miejsca. Nareszcie gasną wulkany, jak wielkie pochodnie przyświecające porządkowaniu rozhukanych żywiołów, ustanawia się ład ostateczny, lasy rozkładają się na wzgórzach, dolinami wody płyną, rozliczne zwierzęta znajdują właściwe dla siebie życia warunki i nareszcie w rozkosznych gajach Edenu, Adam i Ewa otwierają oczy na ten świat cudów pełen.

Dział trzeci przedstawień stanowią widma. Na ten cel scena się powiększa i w saméj jéj głębi, w małéj, dobrze oświetlonéj przestrzeni, w któréj zaledwie kilka sztuk mebli się mieści, ukazuje się sam czarodziéj p. Robin.

Czarnoksięztwo miało zawsze swoich zwolenników, począwszy od najpierwszych czasów zawiązujących się społeczeństw ludzkich. Zdaje się że kapłani najstarożytniejszych ludów, jak: Indjan, Chaldejczyków, Persów, Egipcjan, że nawet druidowie gallijscy, posiadali pewną znajomość optyki, do któréj dodając różne szalbierstwa, łudzili i w niewolniczém uwielbieniu utrzymywali ciemne tłumy. Że tak było, napotyka się w historji pełno skazówek a za naszych już czasów wynaleziono w zwaliskach Herkulanum pewien rodzaj latarni magicznéj, oraz w odwiecznym grobie rzymskim, doskonale zrobioną soczewkę, co dowódzi że nawet niektóre narzędzia optyczne, były znane starożytnym. Widzimy, że wywoływaniem duchów, czyli ukazywaniem żyjącym drogich im zmarłych postaci, zabawiano się w różnych narodach i wiekach. Łatwowierność płaciła tu ogromny haracz zręczności. Tak to sławny Nostradamus pokazuje Katarzynie Medycejskiéj, pytającéj go o przyszłość korony francuzkiéj, siedzącego na tronie Henryka IV, którego przedstawiał umieszczony w drugim pokoju, stosownie przyodziany posługacz; postać jego odbijała się w zwierciadle postawionym między dwoma pokojami, a odbicie to powtarzało się w drugiém mniejszém, na które królowa miała oczy zwrócone. Około tego czasu, a przynajmniéj mało co przedtém, naszemu Zygmuntowi Augustowi przybitemu cierpieniem ciała i duszy, pokazywano wśród dymu, odurzających i tém bardziéj usposabiających do złudzeń kadzideł, cień ukochanéj Barbary, a w końcu XVIII wieku, Cagliostro mieszkając w Paryżu, pokazywał panu de Rohan widmo jego kochanki. Dla wszystkich patrzących złudzenie było zupełne, a kochanek ciężkie wydawał westchnienia, poznając rysy swéj lubéj, chociaż jak opowiada Maratzi towarzysz Cagliostra, który mu w téj sztuce pomagał i kierował właśnie światłem latarni czarnoksięzkiéj, „postać zmarłéj namalowana na szkle w Niemczech na obstalunek, zamazała się nieco i zbrukała spadłszy z okna, gdzie ją postawiono dla wyschnięcia". Odbijając się więc w zwierciedle, na które padały promienie światła z latarni, wyglądała raczéj na jakąś mulatkę, ale nic to nie przeszkodziło ułudzeniu przytomnych, którzy to wzięli zapewne za jakąś barwę grobową.

P. Robin już w 1845 wpadł na pomysł pokazywania widm przenoszących się z miejsca na miejsce, a zarazem nieujętych. Gdy je pokazywał w Lyonie, nie zrobiły wiele wrażenia. albowiem złudzenie było niedokładne. Podczas gdy zajmował się wydoskonaleniem swoich pomysłów, skorzystano z nich w Anglji i z wielkiém powodzeniem pokazywano duchy na teatralnéj scenie. Dyrektorzy teatrów paryzkich dowiedziawszy się jak grube za to w Londynie zbierają pieniądze, zaczęli przemyśliwać o sprowadzaniu nieboszczyków na swoje sceny. Dyrektor teatru Chatelet zakupił od Anglików tajemnicę, robiąc kontrakt, w którym się zobowiązał do wypłaty 20,000 fr. Lecz niestety! p. Robin już to samo widowisko zamyślał dać w swojéj sali i nawet był prędzéj gotów z przygotowaniami i lubo kierował radami swemi administrację teatru Chatelet, tam się jakoś nie wiodło. Wolano zatém zaniechać zjawisk nadprzyrodzonych i wytoczyć proces Anglikom. Robin został panem placu i dziś sam jeden rozmawia się, walczy, ściska z gośćmi z zaziemskiego świata.

Ale wróćmy do przedstawienia. Czarodziéj bierze znany nam już bęben Zuawa poległego pod Inkermanem i bębni weń wzywając dawnego dobosza. Podłoga rozstępuje się z trzaskiem i jawi się duch Zuawa, ubrany według najściślejszych wojskowych przepisów, z dobytą w ręku szablą. Grobowa bladość lice jego pokrywa i mógłby strachem przejąć trwożliwych, gdyby nie jego nadzwyczajne podobieństwo z widzianym już na scenie pomocnikiem p. Robin. Między duchem a czarnoksiężnikiem, zachodzi jakaś żywa rozmowa, prowadzona naturalnie przez pierwszego na migi. Robin wyrywa mu pałasz i chce go nim prze-

bić, lecz o dziwy! broń przecina tę postać w prawo i w lewo, a nic jéj zrobić nie może.

Gdy to widziadło przepadło nareszcie ze strasznym łoskotem, czarnoksiężnik siada przy stoliku zadumany, opierając głowę na rękach a w tém cichuteńko, z wieńcem na głowie, cała w biały welon owinięta, zbliża się do niego panna młoda. Gdy się nad nim pochyliła, a on głowę odwrócił, spada welon i zamiast młodéj, powabnéj twarzy, trupia czaszka się pokazuje. Przerażają się widzowie, a czarnoksiężnik jeszcze bardziéj, zaczyna się uciekanie i gonitwa. Próżno żywy chwyta umarłą obiema rękami, niknie mu w objęciach i znów staje cała i groźna obok niego.

Następnie jest scena z jakimś kucharzem-nieboszczykiem, który przychodzi niepokoić jedzącego czarnoksiężnika i którego Robin przebija wszystkiemi nożami i widelcami, jakie leżą na jego stole, a zabić go nie może. Najładniejszy epizod jest nazwany snem Paganiniego. Wzięty on zapewne z tego, co powiadają o jednym muzyku włoskim, Tardinim. Było to w roku 1713, Tardini położył się spać późno, mając głowę nabitą pomysłami do pewnego utworu muzykalnego, który mu się nie udawał. Miał sen niespokojny i marzył że się układa z djabłem, który się podejmował uczynić zadość wszystkim jego żądaniom. Daje mu tedy skrzypce i każe szukać motywu, jakiego mu było potrzeba. Ależ jakie było jego zdziwienie, gdy usłyszał nadzwyczajnie oryginalną i piękną sonatę. Został tak zachwycony, że stracił oddech. Zbudzony pod tém gwałtownem wrażeniem, schwycił za skrzypce usiłując naśladować to, co mu jeszcze w uszach brzmiało i wkrótce napisał sonatę zwaną *djabelską*.

Coś w tym rodzaju jest ów sen Paganiniego, skrzypce wiszą nad sofą, na której czarnoksiężnik trapiony jakąś niechcącą go porzucić myślą zasypia. Chociaż sofa zupełnie przyciśnięta do ściany, przecież potrafił się tam wcisnąć cienki, cały czerwony, rogaty djablik. Szarpie i niepokoi śpiącego, nareszcie chwyta skrzypce ze ściany i usiadłszy na krawędzi posłania, grać zaczyna, ale to grać prześlicznie aż miło było słuchać téj sztuczki djabelskiéj. Spiący byłby doznawał pewno marzeń najprzyjemniejszych, gdyby mu psotny muzyk nie przygniatał od czasu do czasu piersi nogami. Więc sen był ciężki, połączony z szamotaniem i westchnieniami, a wszystko odbywało się tak naturalnie, że można było myśléć, jako w istocie żywy człowiek tam siedzi, gdyby nie to, że śpiący mahając rękami, przecinał nie raz nogi grajka, które natychmiast wracały do pierwotnego kształtu i druga jeszcze okoliczność, że skrzypek wydawał się mańkutem, bo grał tak pięknie lewą ręką, co zdradzało odbicie. Żeby pojąć w jaki sposób pokazują się te widma, raczcie czytelnicy się przypatrzéć rycinie, scena znacznie pokazuje się wywyższona ponad przestrzeń, którą zajmują widzowie, potrzeba bowiem. żeby pod jéj podłogą mógł się ukryć aktor przebrany za ducha, który ma się pojawić. Przed prawdziwą sceną zwężoną i okazującą się w głębi dalekiéj, jest ogromna tafla zwierciadlana, obsadzona w ramy ruchome. Czystość szkła tego musi być nadzwyczajna, aby się dobrze wydawały odbite w niéj przedmioty, a pochylenie 45 stopni względem teatru. Skoro duch ma się jawić, umieszczony pod podłogą naprzeciw aktora człowiek z zakrytą latarnią, w której płomień podsyca strumień wodorodu i kwasorodu, kieruje nagle na tegoż aktora wszystkie jéj olśniewające promienie. W téjże saméj chwili przez odbicie światła widmo pokazuje się przy aktorze będącym na górze, przed oczyma widzów.

Z pozoru więc zdaje się to bardzo łatwą zabawką, a jednak w dokładném wykonaniu wielkie zachodzą trudności i niejedną próbę wykonać trzeba, nim się wszyscy wprawią robić zgodnie czynność, która do każdego należy. Trzeba naprzód stosownie skombinować ruchy aktorów, którzy się nie widzą i działają niejako po omacku. Przytém aktor będący pod podłogą ma wielką trudność chodzenia pochylonym o 45 stopni, musi bowiem pokazywać się w kierunku pionowym przed oczyma widzów, mimo pochylenia szklannéj tafli. Jednak p. Robin potrafił zwalczyć wszystkie trudności i chętnie sposoby swoje podaje do wiadomości publicznéj, jest bowiem człowiekiem naukowym a nie kuglarzem. W ludziach zaś ukształconych jego przedstawienia tém większe budzą zajęcie. Może niektóre z szanownych czytelniczek gotowe się tu odezwać, że trochę nieświadomości, złudzenia, strachu nawet nicby nie szkodziło; cudowność niepojęta ma jeszcze pewien powab, ale cóż, kiedy w tym wieku naszym, podobne cudowności coraz mniéj popłacają; spragnieni wprawdzie zawsze wielkiéj nadzwyczajności, ale w charakterach, ale w czynach ludzkich, uśmiechamy się z niedowierzaniem na te dziwy wszystkie, które dawnych wieków naiwność łudziły. Pozostają jednakże w tłumie gromadki, które się wyzyskiwać dają w ten sposób. Trybunały prowincjonalne francuzkie, zarzucone są sprawami spirytyzmu (*), i niedawno ukarano więzieniem rzemieślnika z małego miasteczka, który miał niezły dochodzik z robienia różnych cudów, choć był tak złym szewcem, że nie umiał robić nowych bótów, tylko co najwięcéj łatać stare.

J. Śmigielska.

(*) Nie należy spirytyzmu brać za jedno ze spiritualizmem, kiedy bowiem pierwszy jest tylko bredzeniem fantazyjném *o* stosunku żyjących z duchami, ostatni jest wyrazem cechującym górowanie naszego pierwiastku duchowego nad materją i służy za godło jednéj ze szkół filozoficznych.

PRZEJAŻDŻKA DO BIAŁEGOSTOKU, GRODNA I JEGO OKOLIC.

I.



Kędy Supraśl wije się wśród rozległéj równiny przerzniętéj tu i owdzie to zielonem wzgórzem na którém wiejski wznosi się kościołek, to malowniczą fabryczną osadą rozłożył się wspaniale Białystok.

Na dojezdném od strony Choroszczy fabrycznego miasteczka otoczony drzew sadami, ukazuje się oku zdumionego wędrowca jakby jeden pyszny ogród, z tysiącem marmurowych pałacy. Zbliżamy się zaciekawieni pytając współtowarzyszy podróży, czy Białystok nieprzestał być polskim Wersalem, jak go nazwał niegdyś Wyrwicz. Ale oto rogatki i zaraz pierzcha złudzenie, bo zamiast świetnych wymarzonych pałacy, fabryki, a zamiast parku niewielkie ogrody; jesteśmy tylko w powiatowém mieście. Szeroką wysadzoną lipami ulicą co chciałaby może naśladować berlińską *unter den Linden*, wchodzi się w wązki rynek miasta rozszerzony dopiero w miejscu gdzie stoi stara ratuszowa wieża. W rynku skupiły się piętrowe murowane domy mieszczące magazyny Białostockich kupców znane w całéj okolicy. Daléj ciągnie się tak zwane niegdyś Podzamcze gdzie po prawéj stronie wznosi się klasztor sióstr miłosierdzia, a po lewéj dom sierot, szpital i farny kościół, cienistemi do koła otoczon drzewami. W chwili gdy wstępowaliśmy w jego podwoje, ozwał się srebrny odgłos dzwonka i dzwięk organu, a promienie słońca wdzierając się przez różnokolorowe szyby, dziwnie piękne roztaczały światło. W kościele tym nie zbyt wielkim lecz bogato i smakownie przyozdobionym, jest kilka obrazów niezłego pędzla, oraz grobowce dawnych dziedziców miasta Branickich. Na wspaniałych marmurowych sarkofagach wyryte są imiona Stefana wojewody podlaskiego, Izabelli z Poniatowskich kasztelanowéj krakowskiéj i jéj męża. Opuściwszy kościół w którym niema co oglądać więcéj, stajemy przed zamkiem. Prowadzi doń wysoka brama z zegarową wieżą, w pośrodku zaś wspaniałéj rezydencji Branickich mieści się dziś instytut naukowy dla panien, w którym sieroty znajdują opiekę i całe młode pokolenie kobiet światło czerpie. Za zamkiem i oficynami ciągną się podstrzygane szpalery włoskiego ogrodu rozdzielonego wyschłym już kanałem i kamienną balustradą od zwierzyńca. W zamku tym pod opieką pani Branickiéj kasztelanowéj krakowskiéj, chowało się wiele szlacheckich cór z okolicy, które dziś opowiadają wnukom uniesione z lat młodych błogie owych chwil wspomnienia. Prócz téj starożytnéj budowy, niema nic więcéj godnego uwagi w całém mieście.

Ulice Wasilkowska i Bojarska celują najozdobniejszemi gmachami, pomiędzy któremi odznacza się gmach rządu powiatowego oraz ozdobnie zbudowane gimnazjum. Białystok prócz rzeczki Biały od któréj swą nazwę bierze, ma kilka stawów na których są młyny i fabryki nadające mu najwięcéj ruchu i życia. Za czasów jeszcze Jagiellońskich były to dobra prywatne rodziny Wiesiołowskich z których ostatni Krysztof m. w. k. zapisał je na utrzymanie zamku Tykocińskiego. Wraz ze starostwem Tykocińskim należał potém Białystok do Stefana Czarneckiego, a z córką jego Aleksandrą przeszedł do Branickich w których ręku do przedostatnich czasów pozostawał Najświetniejsze czasy miasta były wtedy gdy odwiedzali panów jego monarchowie August II, August III i Stanisław Poniatowski. Nieświerz i Białystok były wtedy dwa punkta w których wrzało życie szlachty. To téż na gwarnym dworze Białostockim odgrywały się nieraz przeróżne sceny i intrygi. Dziś miasto to zamieszkałe przez fabrykantów niemieckich przybyszy, jest może co do handlu i przemysłu najpierwszém w tych stronach. Koléj żelazna nadała mu jeszcze więcéj ruchu i życia.

II.

Dzwonią na stacji, siadamy pośpiesznie i opuszczamy Białystok. Sunie się szybko parochód ciągnąc za sobą długi szereg wagonów. Mijamy pola piaszczyste posiane lasami; daléj błonia Supraśla na których białe mury fabryk o czerwonych dachach, wyglądają jak strojne pałace i miasteczka. Wasilków słynny kościołem fundacji Zygmunta Augusta i pamiętny śmiercią Łukasza Górnickiego starosty Wasilkowskiego (1621). Dwór Wasilkowski przesuwa się przed naszemi oczyma otoczony Supraślą jakby błękitną przepaską zielonego wianka. Przebywszy most na téj spokojnéj rzece która łączy wody swe z wodami Narwi, napotykamy zawsze równie piękne widoki, piękne osady fa-

bryczne wśród błoń zielonych przypominają nam Holandję. Serce się raduje na widok dobrobytu téj okolicy, lecz i smuci zarazem wspomniawszy że to nie krajowcy, tylko niemcy go podnoszą. Patrzcie na prawo czerwieni się dawny klasztor Bazyljanów w Supraślu sławny niegdyś swą drukarnią. Drukarnia ta odbijała mnóstwo książek nabożnéj treści, na których modliły się babki i dziadowie nasi.

Zwolna nikną błonia i osady i zmienia się krajobraz. Wjeżdzamy w ogromne lasy co noszą nazwę Białostockiéj puszczy łączącej się podobno aż z Białowieżą.

Po obu stronach drogi żelaznéj szumią jękiem pieśni pogrzebu odwieczne jodły i świat się dziwny odsłania, świat puszcz ponury i ciemny. Czarne puszcze dumały cicho i spokojnie lat tysiące, a ludzka uszanowała je ręka. Teraz pogwałcono ich spokój uroczysty, w wielu miejscach drzewa zwalone lub wycięte tak że mimowolnie zawołać musiemy z poetą:

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera.
Kupiecka, lub nierządów krajowych siekiera,
Niezostawia przytułku ni leśnym śpiewakom
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.

Sunie szybko pociąg, wkrótce przybywamy do stacji Czarnąwsią zwanéj, bo też w koło otoczona czarnemi lasami. Za nią, niedługo kończy się puszcza i znów widać pola, łany zbożem złocistém pokryte. Tu już okolica mniej piękna, nie tak bogata, ani tak urocza. Pola i wzgórza, to znów drzewa, wsie i dworki odbijają się na czystém tle nieba.

Niedługo jednak zniżają się pagórki coraz bardziéj i nikną w bujnych łąkach nad rzeczką Sokółdą, a za niémi bieleje i sama Sokółka. W kilka chwil przybyliśmy do stacyi.

Sokółka jest niewielkiém, powiatowém miasteczkiem jak niesie podanie ludowe założoném z rozkazu Bony, w miejscu, gdzie zabito sokoła niezwykłéj wielkości, na łowach królewskich odprawianych w téj puszczy białostockiéj, co na północ het! daleko sięgała. Zwolna wzrastała Sokołka i za Zygmunta III była wioską koronną. W niéj ten król fundował kościołek który spłonął w r. 1779 i długo nie był odbudowywanym.

Najpiękniejsze czasy Sokołki przypadły za Stanisława Augusta i dziś choć liczy kilka tysięcy mieszkańców nie jest jednak tém czem wówczas była. Świadczą o tém rozwalone kamiennice w rynku i upadłe fabryki i handel. Lecz za to zbogaciła się Sokołka od r. 1840 pięknym kościołem zmurowanym przez zacnego ś. p, dziekana Kryszczuna.

W kościele ma być cudowny obraz św. Antoniego, a przed nim stoi szpital zasłaniający cały front świątyni.

Na prawo nieco opodal od miast jest gmach murowany z obszernym ogrodem, tutejsza wiejska szkoła rolnicza i leśna.

Za Sokółką aż do Kundzina widać liczne osady zagrodowéj szlachty, co rozrodzona na małym kawałku ojczystéj ziemi, dumna swém pochodzeniem, niełączy się prawie nigdy z bogatszym częstokroć kmieciem i żyje odosobniona na rodzinnym zagonie. Nie rzadko tu spotkać wioski z kilkudziesięciu nawet zagrod, złożone, w których wszyscy sobie braćmi, krewniakami, bo téż i wszyscy jednego nazwiska.

Kundzin, to niewielki dość ładny kościołek na wysokiém wzgórzu zbudowany niedawno, u stóp którego piękną dolinką idzie droga żelazna, a Kundzin strzeże wejścia do czarownych okolic rzeki Łososny. Pociąg wbiega najprzód na obszerne łąki, co z téj i z drugiéj strony daleko się rozbiegają.

Ztąd nowy odkrywa się widok, na lewo leżą wsie i laski, na prawo widać wieś *Tołoczki* wśród łąk jakby wiankiem otoczoną olszowym gaikiem; nad nim podnoszą się pogarbione wzgórza na których wpośrodku drzew zieleni znać rozrzuconą wioskę; a za niémi znów inne Tołoczki; pod zamglonym lasem obrazek ten cały któremu tłem niebo wygląda czarownie. Kiedy szczególniej mgła, córa tych łąk pierchnie przed złotémi promieniami słońca, co odbijając się na wierzchołkach lip, na szczytach gór, wywołuje tęczowe barwy, widok ów w jasnéj przedstawiając się szacie, zdaje się być malowanym obrazkiem, rzuconym na zielony kobierzec.

Lecz nie tu koniec obrazu, teraz patrzymy na laski brzozowe, co z jednéj strony czepiają się na strome wzgórza, z drugiéj na pięknéj zasiadły równinie, tam drzewka wysmukłe jak w bieli dziewice, pochylone nad wiejskiemi chatami, śpiewają sielskie piosenki. A z za nich widać Łososnę co zasiadłszy nad głębokim stawem cudownie, może zanadto nad rzeczywistość wygląda. Tuż przy niéj na lewo znów druga Łososna położona na wzgórzu, gdyż nad tą rzeczką wiele miejsc téj nazwy. Na lewo zaś malowniczo w zakątku doliny schowane dwór i wioska Czuprynów. I wzrok nasz nie może się nasycić tą rozmaitością, oko biega z przedmiotu na przedmiot by uchwycić chwilowe wrażenie. Lecz pociąg idzie szybko i znów patrzymy na nowe obrazy, które zacierają pierwsze wrażenia.

„To prawdziwa Szwajcarja“ powtarzają podróżni.

Istotnie nic równie pięknego od Warszawy do Grodna.

Ale oto w téj chwili przybywamy do stacji. To miasteczko Kuźnica, liche i żydami obsiadłe, dwie góry stoją na jego straży, na jednéj z nich cmentarz, na drugiéj cerkiewka po-Bazyliańska. Miasteczko ma śliczny kościół jeszcze nie wykończony zupełnie, powstały z ofiar parafii a głównie staraniem zacnego tutejszego proboszcza X. Pisanko.

Z Kuznicy do Grodna trzy mile, a i tu piękne okolice, lasy i wioski, rzeczka Łososna a na niéj młyny przeplatają widoki. Pod Grodnem zaczynają się piaski, obrazy smutniejsze; ale miasto za to widać zdala i zamek Ba-

torego i wieże mnogich świątyń, starożytnego grodu i ciemne wody Niemna.

Więc spieszmy do Grodna, poznać go i powitać.

III.

Grodno zajęło od wieków wysokie wybrzeża Niemna. Naprzeciw leży przedmieście, co dziś jest połączone z miastem prześlicznym mostem drogi żelaznéj. Most ten prawdziwe arcydzieło budownictwa XIX opiera się na dwóch wysokich przyczółkach, a dwie pary słupów z żelaza lanego podtrzymują jego środek. Dla swéj wysokości zdaje się być zawieszoném w powietrzu i stokroć téż piękniéj wygląda niźli Warszawski. Grodno licząc dzisiaj ze dwadzieścia tysięcy mieszkańców, w znacznéj części żydów nie jest tyle pięknem, o ile handlowém. Górzysta ulica Mostowa idąca od mostu łyżwowego na Niemnie prowadzi na pierwszy bulwar. Na niéj oprócz koszar niéma większych domów, tylko dwa kościoły: *po-Karmelicki*, dziś obrócony na magazyn rządowy i kościół *po-Bernardynek*.

Pierwszy bulwar jest już otoczony dość pięknemi domami a stary ratusz z mnóstwem sklepów oddziela go od drugiego bulwaru. Tu od strony północnéj stoi wspaniała i poważna fara z dwiema wysokiemi wieżami. Cała jéj budowa i powaga wnętrza uderza przychodnia. Z jedynastu złoconych ołtarzy odznacza się jeden z bocznych z małym obrazem N. Panny, przywiezionym z Rzymu za Jana Kazimierza. Naprzeciw niego stoi ławka z wyobrażeniem cudów za przyczyną Matki Bożéj w tym kościele wymodlonych.

Drugim najważniejszym tutejszym kościołem jest *po-Bernardyński*, poważnéj i starożytnéj budowy, z wyniosłą ostrokończastą wieżycą. Wnętrze téj pięknéj świątyni przypomina wieki średnie, których duch widocznie wycisnął tu swoje piętno. A te grube mury, niby potężnéj warowni, te olbrzymie filary wznoszące gotyckie sklepienie środkowéj nawy, okna, płyty grobowe i ołtarze w średniowiecznym smaku, obrazy stare, a piękne, wszystko to budzi w sercu jakieś poważne i rzewne uczucia.

Na téjże *Bernardyńskiéj* ulicy obok świątyni na wyniosłém położonéj mniejscu stoi były klasztor, dzisiejsze probostwo. Proboszczem jest ks. Gintowt, znakomity tutejszy kaznodzieja, który posiada kilka wcale niezłych obrazów i dość zamożną bibliotekę, zawierającą do 4,000 tomów.

Kościół z klasztorem panien Brygidek stoi na ulicy Brygidzkiéj. Niewielka ta świątynia ozdobiona dwiema wieżyczkami, oprócz kilku lepszych obrazów, między któremi trzech fundatorów klasztoru Wiesiołowskich, niezawiera żadnéj osobliwości.

Z bulwarów oprócz dwóch wyżéj wymienionych ulic wybiegają dwie jeszcze inne na dwie strony miasta, *Zamkowa* i *Dominikańska*. Na pierwszéj przy końcu postrzegamy zamki t. j. dolny i górny. Teraz oba tworzą jeden zamek. W nim umarł Kazimierz Jagiellończyk, tu równie wedle podań ludu żyć przestał wielki Stefan Batory, wśród dni najpiękniejszych nadziei, rokujących pomyślność i potęgę Polski. (Historja wskazuje jednak na miejsce śmierci tego króla stary dwu piętrowy budynek, stojący w rynku.)

Zamek ten położony nad spadzistém wybrzeżem Niemna, teraz w innéj szacie nie czyni wrażenia pomnika przeszłości; śliczny tylko jest ten widok na brzeg przeciwny rzeki. Szczególnie wśród ciemnéj a pogodnéj nocy, gdy posępne panuje milczenie, fantastyczny, cudowny przedstawia obrazek, jakby różczką czarodziejską wywołany pośród murów miasta. Po oknach igrają światła, u dołu płynie Niemen, w którym odbijają oblicza księżyca i gwiazd, w głębokim zaś parowie kędy fala obmywa wybrzeża, błyszczą ognie z domków przedmieścia, jak gniazda jaskółcze uczepione na urwisku.

Na ulicy Dominikańskiéj najpiękniéj zabudowanéj wyróżniają się, dom dobroczynności, izba skarbowa, pocztamt nowo wystawiony hotel Römera i gimnazium; ale główną ozdobą téj części miasta jest kościół *po-Dominikański*. Choć dziś ubogi i pozbawiony wszelkich ozdób jednak zastanawia swą budową w smaku odrodzenia i wewnętrzną czystością. Jedna tu tylko pozostała pamiątka, popiersie Stanisława Augusta protektora b. klasztoru. Teraz ten kościół uważany jako kaplica młodzieży szkolnéj, zgromadza na msze poranne cały piękny świat Grodna.

Najcelniejszą dzielnicą miasta jest tak zwana Horodnica. dawniejsze przedmieście. Tu na szerokiéj, pięknemi drzewami wysadzanéj ulicy stoją rządowe i prywatne domy, tu wszystko powabne i miłe, tak że można powiedzieć że tu zlało się całe piękno Grodna. Stanąwszy na moście Horodnicy i rzuciwszy okiem po za siebie, zobaczyć można w oddali rozkoszne brzegi Niemna, przed sobą zaś długą, zieloną aleję ogrodu. Na prawo stoi szereg białych domów, na lewo, nad głębokim parowem na dnie którego płynie bystry strumień, rozłożyły się śliczne rządowe ogrody, niegdyś własność prywatna *Tyzenhauza*, z za zielonych klombów wygląda mieszkanie naczelnika guberni, wszystko oddycha życiem i siłą natury. Obok zaś stoi teatr, z obszerną i piękną salą widowisk.

Na téj ulicy zwraca również uwagę ogród z pałacem książąt *Czetwertyńskich*.

Grodno posiada kościół Wniebowzięcia Panny Marji fundowany przez Witolda, najciekawszą zaś jest drewniana, z jedną murowaną ścianą cerkiewka na *Kołoży*. Jeszcze w XII wieku w tém miejscu stała cerkiew św. Borysa i Chleba, lecz ta upadła za wojen krzyżackich

Później kiedy Witold zdobył miasto Kołożę tu osadził przeniesionych jéj mieszkańców i ztąd ta miejscowość nazwaną została Kołożą. Tenże Witold odbudował cerkiew, co długo posiadała cudowny obraz Matki Boskiéj i utrzymywała się darami królów, dopiero w ostatnich czasach Niemen podrywając brzegi zniszczeniem grozi jéj. Położona ona na stromém wybrzeżu, w miejscu gdzie miała istniéć świątynia pogańska.

Wedle podań najdawniejszym kościołem katolickim w Grodnie ma być *Ks. Franciszkanów* na przedmieściu za Niemnem czyli w Nowém-Grodnie. Założony podobno został przez Witolda, za czasów gdy Litwa na wpół pogańska na wpół chrześciańska przyzywała do siebie swoich apostołów, Ks. Franciszkanów. Nie pewną jest jednak ta starożytność tego miejsca i ztąd podzielone są zdania; co do nas, zdaje nam się, że Witold mógł tu fundować drewniany kościół, murowana zaś czyli druga fundacja na pewno jest z r. 1635 przez rodzinę *Kurezów*. Kościół ten posiada niezłe rzeźby zresztą nic nie zawiera godnego uwagi.

Na przedmieściu znajdują się także spichrze kupieckie, z których ładują zbożem wiciny, co z wodą i pieśnią wioślarzy płyną do Kowna i Królewca. A za miastem z téj strony pokazują ruiny świątyni pogańskiéj, gdzie niegdyś *Znicz* płonął.

IV.

Wyjeżdżamy z Grodna drogą do Merecza.

Piękne okolice przedstawiają się nam czas jakiś, ale wkrótce małe wzgórza ustępują coraz daléj i daléj a przed okiem roztaczają się strony równe, płaskie i posępne.

O kilka wiorst za Szandubrą leżą *Druskieniki*. Z zajęciem i ciekawością zbliżaliśmy się do tego miejsca, tyle sławnego tutaj a nawet daleko w świecie medycznym, Druskieniki bowiem tém są w Zachodnich Guberniach czém Ciechocinek w Królestwie.

Od Grodna przedstawiają się dość pięknie, może najładniéj, dlatego, że w dniu tym oko sze odwykło od żywych i miłych obrazów. U wstępu witamy małe jeziorko, nieopodal zaś niego stoi kościół druskiennicki. Zmurowany niedawno, otoczony parkanem wygląda choć skromnie lecz ładnie. Stoi na obszernym placu, co zwolna zaczyna się upiększać wciąż nowemi domami.

Przed niedawnym jeszcze czasem ubogie to było miejsce, zakład nędzny i szczupły. Niebyło tu łazienek, domów mieszkalnych czyli nie było nic. Nawet leczący się musieli się mieścić dawniéj w ubogich domkach wioski lub w poblizkiém miasteczku *Rotnicy*, gdzie urządzano kąpiele. Lecz dziś zmieniły się czasy, Druskieniki urosły nagle w śliczne miejsce, potworzyły się ulice, napiętrzyły domy i Druskienik dziś poznać nie może, kto je widział przed laty dwudziestu.

Szczególną zwracają uwagę domy: *Jagmina, Borzęckiego, Wolfganga i Hłuskiego*. Ten ostatni jest w nadobném położony miejscu, otoczony ogrodem, przez który przepływa kryształowa rzeczułka *Rotniczanka*. A i zakład sam w jakąś piękną ubrany sukienkę, łazienki w nowym umieszczone gmachu wygodnie są urządzone, za niemi zaś spacerowy ogród mieści u wstępu obszerną salę zabaw i rozkoszną przechadzkę po nad brzegiem Niemna.

Są tu dwa źródła słono-siarczane, z jednego pompują wodę do kąpieli siłą koni, z drugiego cierpiący czerpią życiodawczą wodę. Życiodawczą powiadamy, bo w istocie są cudowne przykłady zbawienności téj wody, co leczy szczególniéj paralityków i dotkniętych reumatyzmem. Te ostatnie źródło położone prawie w samym Niemnie. Co wiosna zalewane jest jego wodami i co wiosna ta rzeka coraz więcéj go podmywa, co wznieca niepłonną obawę by z czasem niestraciło swoich własności.

Smak tej wody słonawy, dość nawet przyjemny.

Druskieniki przed kilką laty były jednym z tych punktów, gdzie się skupiał podczas *wodnego* sezonu cały piękny świat tych stron, a i z dalszych okolic mnóstwo przyjeżdżało gości.

Tu spieszyli obok chorych zdrowi i prawie zawsze przewyższali liczbą ci ostatni, bo tu wrzało życie, tu wśród zabaw, przepychu i zbytku przepędzało się Boże lato, marnując grosz i tu téż odbywały się „kontrakty małżeńskie.“

Tu zabawy tygodniowe, spacery, teatra, koncerta wyciągały całoroczną krestencję obywateli, co tłumnie zjeżdżali się tutaj, dla dogodzenia żądaniom żon i córek, a co gorzéj tu ubożsi chcieli zrównać bogatszym, teraz są tu wody i bywają chorzy, wszystko przecież odbywa się spokojnie i cicho. Przebrzmiała dziś świetność Druskienik może niepowrotnie, błogie zostawując wspomnienia.

. . . .

A teraz idźmy na lewą stronę Niemna na brzeg przeciwny Grodna. Zwiedźmy i te strony. Opuściwszy piasczyste i górzyste przedmieście, zwracamy konie w stronę zachodnią do Augustowa, kędy idzie nowo zbudowany trakt pocztowy. Rzucając Grodno przesyłamy mu ostatnie spójrzenia. W pół godziny jesteśmy na polskiéj granicy. Rogatki i komora graniczna Łososna i ten młyn i ta karczma, leżące w głębokim parowie, kędy znajoma nam płynie rzeczka, prześliczne sobie obrały miejsce.

Postępując z biegiem téj rzeczki, nieopodal gdzie się łączy z Niemnem natrafiamy na inną znowu *Łososnę*.

Tu były niegdyś fabryki i zakłady przemysłowe, wznoszone myślą zdrową i pracą Tyzenhauza.

Już to parę razy spotkaliśmy się z tém nazwiskiem, powiedmy więc cóś o człowieku, co je nosił.

Antoni Tyzenhauz. Jako podskarbi litewski trzymając w swym ręku ekonomią grodzieńską na nią zwrócił całą uwagę, ona stała się polem jego działania. W Grodnie zabudował Horodnicę, wzniósł pałac dla siebie, urządził świątynię Melpomeny, wspierał przemysłowców. Urządził również ogród botaniczny, gabinet fizyczny i bibliotekę. Założył szkoły: budownictwa, mierniczą, weterynarji, gospodarki wiejskiéj i do nich sprowadził zdatnych nauczycieli.

Sokółka upiększona nowymi murami, gdzie zamierzał urządzić fabryki podniosła się na godność pięknego miasteczka. Ale głównie zajmował się Łososną. Tu urządził zakład fabryczny na stopę zagraniczną i zbudował fabryki: sukna, płócien, muślinu pasów i powozów; wzniósł piękne domy dla fabrykantów a w środku całego zakładu na wzgórku dom dla dyrektora. Utrzymywał stadniny i zajmował się także gospodarką rolną, ale dla podniesienia Łososny wszystko poświęcał. I piękne też ztąd można było rokować nadzieje, bo obok płynący spławny Niemen i przydatna dla fabryk rzeczka Łososna, podnosiły wartość téj miejscowości. Nagle też urosła w czyn myśl Tyzenhauza, ale o zawiść rozbiło się wszystko i ten co życie i majątek łożył dla dobra ogółu umarł w nędzy warjatem. Dziś myślą jego jakby natchnieni okoliczni obywatele gorliwie zaczęli podnosić pomyślność kraju zakładaniem fabryk.

Z Łososny niedaleko do Augustówka, niegdyś polskich królów własności. Piękne to miejsce leży w ciemnych borach co dokoła otoczyły go wieńcem. Ztąd nieopodal idzie kolej żelazna.

W oddali postrzegamy Karolin, prześliczne miejsce. Nad brzegiem szerokiego stawu, który przepływa Talarka, rzeczułka słynna pstrągami łącząca się z Łososną.

Pominąwszy wiele pięknych miejsc mniéj więcéj do siebie podobnych stajemy w Dąbro-

STRÓJ DAWNYCH NIEWIAST POLSKICH.

WIEK XVI.



Elżbieta Fredrówna księżna Radziwiłłowa.

Czapeczka aksamitna z białém piórem, objęta rzędem drogich klejnotów, która przystraja ten wizerunek, nietyle zgrabna co dzisiejsze tego rodzaju okrycia głowy, a jednakże wielce do nich zbliżona. Włosy podwinięte do góry w miejsce tegoczesnéj siatki pokryte prostym czepkiem, z tego samego materjału co sztywna kreza pietrząca się koło szyi. Wcięta szuba sobolowa ma rękawy szérokie, otwarte, zamiast epolet zdobne u góry wałkami z grubéj tureckiéj materyi. Spięta jest jakby pętlicami złotym łańcuchem. Takiż łańcuch we cztery rzędy i drogi kanak po niżéj przypięty, wygląda na piersiach widzialnéj nieco z przodu spodniéj sukni.

wie, miasteczku które jedną tylko sławę teraz posiada i to niezbyt zaszczytną, nosi bowiem nazwę stolicy złodziei, z powodu że wszyscy mieszkańcy tameczni, bawią się przemycaniem towarów pruskich. Z miasteczkiem łączy się wieś kilkomilowa ciągnąca się aż ku Sokółce zwana Długą-wsią. Pół mili zaś za niém spotykamy sławne pielgrzymkami miejsce Różanystok. Jestto wspaniały kościół z klasztorem po Dominikańskim, wystawionym przed niedawnym czasem z ofiar prywatnych. Sława Różanegostoku jest czysto religijną, znajduje się tu bowiem cudowny obraz Marji, słynący od wojen szwedzkich, do którego gromadnie lud spieszy.

Dla braku funduszów nieskończony jeszcze front świątyni i wieże nie wyprowadzone dostatecznie. W około kościoła i klasztoru, teraz probostwa tulą się mniejsze domki i mały hotel. Z Różanegostoku pospieszamy ku kolei żelaznéj, odległéj ztąd przeszło trzy mile. Po drodze mijamy wsie i łąki nad Biebrzą i stajemy w Sidrach. Miasteczko to małe i nędzne ma aż dwóch właścicieli; położone jest wśród łąk i pol, ma kościół katolicki nic ciekawego nieposiadający, ruiny zamku i zniszczony zbór kalwiński. Ruiny zamku podobno niegdyś Potockich, przed kilką jeszcze laty mogły być mieszkalne, ale czas i niedbałość zgotowały im upadek, a dzisiejszy właściciel uprząta nawet resztki murów. Dziwimy się śmiałości ręki co dla małego zysku niszczy pamiątki kraju. Ale czegóż dziwić się mamy! kiedy w kraju naszym niestety, wiele spotykamy podobnych przykładów. Zbór kalwiński starożytnéj budowy również z dniem każdym chyli się do upadku, obrócono go bowiem na składy żydowskie.

Wyjeżdzając z Sidr spotykamy po drodze ogromny i piękny las a za nim Andrzejew, miluchne miejsce Pawłowicze i w dali widzimy kościołek w Zalesiu, a późniéj pola okryte bujnym plonem prowadzą nas aż do znajoméj Kuźnicy, co wygląda z doliny, jakby oczekując naszego przybycia. Tu kończy się nasza wędrówka bo tu znów siadamy na koléj i w dwie strony podążyć możemy do Warszawy albo do Wilna.

K. A. G.

Wiadomości Literackie.

Le Ciel par A. Guillemin, notions d'astronomie a l'usage des gens du monde et de la jeunesse, ouvrage illustré de 11 planches tirées en couleur, Paris 20 fr. (Niebo, zarysy astronomii popularnéj przez A. Guillemin).

Nauka astronomii silniéj może aniżeli którakolwiek inna świadczy o potędze geniuszu człowieka i wyższą wzbudza ciekawość; na nieszczęście jest najeżona tylą trudnościami, że odstrasza łatwo ogół amatorów. Pan Guillemin uczynił ją o ile można przystępną w swéj książce, przy pomocy któréj można odprawić podróż po gwiazdach i zdać sobie sprawę z głównych zjawisk na przestrzeni niebieskiéj. Piękne ryciny przedstawiające planety w takiéj postaci, w jakiéj je widzieć można przez najlepsze teleskopy, niemało się przyczyniają do zajęcia jakie dzieło to wzbudzić powinno zarówno w młodych jak w starszych czytelnikach.

Histoire des plantes par L. Figuier. ouvrage illustré de 415 figures, Paris 10 fr. (Historja roślin, książka ozdobiona 415 rycinami p. L. Figuier).

Pan Figuier wydawca *l'année scientifique et industrielle,* książki która nas corocznie obznajmia z najnowszemi zdobyczami w dziedzinie nauki i przemysłu, napisał obecnie dziełko pełne zajmujących opowiadań, o bogactwach królestwa roślinnego i pożytku, jaki z niego człowiek wyciąga. W dzisiejszych czasach gdy upodobanie do kwiatów ogólnie się rozwija, opis ten podobny do zaczarowanéj drożyny na któréj coraz nowe napotykają się cuda, zachęca do nauki botaniki nawet tych, którzy wszędzie jedynie tylko rozrywki szukają. Oschłości nauki są tu złagodzone, a widok skarbów rozłożonych przed oczyma naszemi w różnych częściach świata, sprawia, że czytanie téj książki jest jakby pełną powabu przechadzką pomiędzy różnorodną roślinnością, poczynając od drzew wyniosłych i najpyszniejszych kwiatów, aż do prostych ziółek i trawek. Dokładne i piękne rysunki, czynią tekst jeszcze więcéj zajmującym.

Le monde de la mer, par A. Frédol illustré de 21 planche sur acier tirées en couleur, Paris 30 fr. (Świat morski p. A. Frédol z 21 rycinami na stali).

Jak dzieła o których poprzednio wspominaliśmy, zaznajamiają ze światem gwiazd i roślin, tak książka p. Frédol wprowadza pomiędzy cuda podmorskiéj przyrody, roztaczając przed nami szereg dziwnych zjawisk. W téj podwodnéj wędrówce wychodzą na jaw najnowsze odkrycia tegoczesnych przedstawicieli nauki, oraz tajemnice życia rozlicznych żyjątek, nieznane dotąd dla ogółu, a piękne ryciny na stali dopełniają zajmującéj całości dzieła, które polecić można śmiało, jako jedną z najciekawszych i najwięcéj nauczających książke tego rodzaju.

La vie domestique en Palestine, par Mary Elisa Rogers. (Życie domowe w Palestynie, przez Marję Elizę Rogers).

Młoda angielka, która wydała ten nowy i zajmujący opis Ziemi świętéj, przemieszkiwała w niéj przez cztéry lata, wraz z bratem zastępującym konsula w Haifa. Za jego pośrednictwem miała sposobność poznajomienia się bliższego ze znakomitszemi członkami różnych narodowości, z których się składa ludność tameczna, oraz dokładnego zbadania miejscowości. Zdaje się, że do wyższego ukształcenia Miss Rogers łączyć musiała obejście pełne wdzięku, które jednało jéj wszystkie serca, bo łatwiéj jéj było aniżeli komukolwiek dotąd, poznać wewnętrzne życie mieszkańców. Haremy stały dla niéj otworem, porobiła nawet stosunki bliższéj znajomości z niektóremi ich mieszkankami i odkryła w ten sposób wiele drobnych interesujących a prawie nieznanych nam jeszcze szczegółów. Mimo protekcji rządu miejscowego, stanowisko wice-konsula stawało się nieraz niebezpieczne w obec kłótni i fanatyzmu krajowców, lecz Miss Eliza była odważną i zawsze towarzyszyła bratu w dalszych wycieczkach. Zwiedziła wszystkie główniejsze miejsca w Palestynie; wspomnienia święte zawsze niewypowiedziany miały dla niéj urok, uważała nawet, że biblijne obyczaje przechowały się w niektórych rodzinach. Poznawszy sama wszechstronnie kraj który zwiedziła, zapoznaje z nim czytelników, opowiadanie jéj zaś nacechowane wdziękiem i prawdą, czyni tę książkę wielce zajmującą dla każdego.

DESKRYPCYA WESELA
TYMOSZA CHMIELNICKIEGO Z HOSPODAROWNĄ WOŁOSKĄ.

A. 1652. Die 1 Septembris.



Już się stało, co życzył li Bóg *de charo pignore* (dla ukochanego dziecka) Hospodara Imci, *ab aeterno constituit*, (od wieków postanowił) czy też *inevitabile fatum* (nieunikniony los) domu onego minąć nie mogło, którego po rozgromieniu wojska polskiego pod Batohem, a po obleżeniu Kamieńca Podolskiego, żadną miarą *evitare* (uniknąć) nie mogło, bo Chmielnicki zaraz ztamtąd posłów swoich posłał do Hospodara Imci *cum indignatione*, (z oburzeniem) aby córkę swoję synowi jego Tymoszowi według dawnej obietnice, dał za towarzyszkę *in sociam vitae et thori* (życia). Co Hospodar Imci *nontam libenter quam reuerenter* (nie tak z własnéj chęci jak z potrzeby) uczynić musiał, i synowca swego *in instanti* (natychmiast) do Czechryna *pro obside* (jako zakładnika) posłał. Po długich tedy z obudwóch stron względem aktu tego weselnego poselstwach, zbliżyli się. *Tandem* 16 Aug. P. Tymosz do Jampola; na którego przywitanie Hospodar Imci jako pan mądry, Pana Tomę dwornika wielkiego z częścią wojska do Soroki wyprawił. Karocę sześcią koni posłał, także też wszelakie *victualia*, (potrzeby dla stołu) win, miodów przygotować rozkazał, aby go w Soroce jako syna traktował, a ztamtąd aż do Jass onemu *prodromum agat* (za przewodnika służył). Tymosz zaś co uczynił? Posłał do P. dwornika do Soroki zapraszając go do siebie do Jampola, a gdy Pan dwornik nie chcąc *resistere voluntati* (opierać się woli) onego, przeprawił się na tamtę stronę Dniestru, zatrzymał go przy sobie, obawiając się zdrady, a niedosyć na tém zaraz pisał do Hospodara Imci, aby Hospodar Imć Pana Hetmana rodzonego swego *pro obside* (jako zakładnika) przysłał. Musiał i to uczynić Hospodar Imci, lecz *cum fronte non sine nube* (z zachmurzonem czołem), posłał rodzonego swego; który skoro w Jampolu stanął, P. Tymosz z wojskiem swoim we wtorek 26 Augusta począł się na tę stronę Dniestru przeprawiać, we środę nocował w Belcach, we czwartek u Pruta w Kojchanach, w piątek przed południem do Jass wjachał. Wyjachał Hospodar Imci z PP. Bojarami w 8000 wojska, aby witał niepożądanego syna. Miał przy sobie paików 6 przystojnie po turecku ubranych; kawalkaty z bogatem wsiędzeniem ośm, jechał jako monarcha, którego *genorositatem satis digne* (wspaniałości dość godnie) opisać nie mogę, zbliżyli się, i P. Tymosz w 3000 wojska Zaporozkiego, lubo to jako powiadają na wybór wybranego, jednakże srodze ladaco było, a gdy już w dolinie w ćwierci mili zbliżyli się ku sobie, wojsko Hospodara Imci z obu stron na

uboczach porządnie stanęło. A P. Tymosz Hetmanicz z wojskiem swym *timore* (przestrachem) nieco *perculsus* (rażony), jakoby w sprawie z góry spuszczając się, kazał wojskowej muzyce grać, a zjechawszy się zsiedli z koni, i przywitali się. P. Tymosz ojca wpół obłapił a Hospodar Imci jako ojciec onego pocałował. Uczynił Hospodar Imci do niego przemowę, ciesząc się z przyjazdu onego, a on na to i pół słowa nie odpowiedział, tylko stojąc jako wryty wargi sobie gryzł, a Wyhowski za niego odpowiadał. Kawalkaty P. Tymosz miał dziewięć, konie bardzo ladajakie i chude, siedzenia dwoje było kosztowne, jedno perłami sute, a drugie złotem bogato haftowane. Sam był w atłasowym żupanie karmazynowym, w ferezyi axamitnej sobolej, nie na niego robionej. Chłop młody, ospowaty, wzrostu niemałego, wielki dureń. Rydwanów poszostnych miał dwa, skarbny wóz jeden, worków ze 400 na które soli nabrali podobno dla zysku. Insi pułkownicy na dobrych byli koniach, wszyscy w polskich szatach, od srebra, od rzędów; ale takich niewiele, więcéj hołoty. Jachał tedy P. Tymsz obok Hospodara Imci do miasta, gdzie na wjazd jego poczęto z dział bić, muzyka tak wojskowa, jako i inna wykrzykała, zwłaszcza Turcy i Cygani. Zaprowadził go Hospodar Imć do pokojów swoich kosztownie obitych, gdzie mu Stefana Hospodarczyka syna swego prezentował i wiele z nim rozmawiał, *exprimując* (wyrażając) radość i wesele, z przyjazdu onego. A P. Tymosz po staremu milczy, tylko Wyhowski za niego odpowiedział. Poczęły panny zaraz w pokoju Panny Młodéj tańcować, Cygani w swoje Serby rznąć, a Hospodar Jmć do inszych pokojów ustąpił, mówiąc P. Młodemu aby po takich trudach wczas sobie uczynił i po tym ukurzeniu z prochu umył się Naznaczył Hospodar Jmć pokojowych swoich, aby mu usługowali. Stała jego *assistentia* (świta), jako to P. Wychowski, P. Tetera i insi jego pokojowi, których regestr niemały. Stali niektórzy Bojarowie Wołoscy, a on pojrzawszy na nich jako wilk jaki z podełba, dobył noża i tyłem tylko proszę *veniam* (przebaczenia) obróciwszy się, począł sobie paznokcie przy bojarach Wołoskich obrzynać. Pułkownikom, assaułom i setnikom w mieście gospody naznaczono przystojne i wszelakie każdemu dano obroki. Tabor zaś Kozacki pod Winogrodem stał, który wielką szkodę obywatelom Jaskim czynił. Żydzi się nie ukazowali, bo których zaskoczyli, dobrze się im okupowali. Potym nadjachały i żonki kozackie, którym gospody i wszelaki dano dostatek. Nagotowano potym do stołu, prosił go Hospodar Jmć na obiad, który się nie rychło wybrał, musiał nań Hospodar Jmć długo czekać. Szedł tedy przebrawszy się w insze szaty polskie do stołu, którego Hospodar Jmć podle siebie posadził; poczęli jeść, za zdrowie pić, z dział bić; a Tymosz po staremu, ani be, ani me, co srodze Hospodara Jmci urażało. Muzyka turecka i wołoska grała i wszelakie kunszty Turcy wyprawowali aż do saméj nocy. Nazajutrz w sobotę P. Tymosz gotował się do ślubu, nie był u stołu z Hospodarem Jmcią. Bojarki wszystkie i panny wołoskie bogato ubrane w zamku tańcowały; a P. Tymosz kurząc w oknie *in conspectu* (w przytomności) wszystkich dymną tabakę, wołoskiemu tańcowi przypatrował się. W niedzielę także młodź i bojarki Wołoskie tańcowały, a potem Hospodar Jmć i Hospodarowa Jejmść, Dumną Roksannę *charum pignus suum* (ukochane swe dziecko), niezgrabnemu, ladajakiemu i niememu chłopu z nieznośnym żalem swoim oddali. Jechał do cerkwi na swoim koniu tureckim, sam pod kitą, w szatach kosztownych od Hospodara Jmci darowanych. Paików dwóch wedle niego, prowadzili go bojarowie jako co dobrego. Gdzie na kobierzec wedle zwyczaju dwu z nim szelubow kazał przyprowadzić. P. Tymosz powrócił frant wesoło z cerkwi do zamku obłapiwszy pannę. Konkurs ludzi wielki był, tamże z dział bito, śpiewano. Córka Hospodara Jmci łzami się oblewała, którego przedtym *avide* (niecierpliwie) wyglądała i piosnki kozackie śpiewać sobie rozkazywała. Siedli potem do stołu, po kozaczki posłano których w gospodach nie zastano, bo w karwaserze na gorzałce były, przywieźli je do zamku jako jakie straszydła, a te wszystkie były krewne Chmielnickiego, szpetne bardzo, w giermakach żydowskich jednak sobolami podszytych, z kołnierzami wielkiemi, chciały się pono strojowi wołoskiemu akkomodować; o tychby siła pisać trzeba, ale sam wstyd niedopuszcza. Te wszystkie traktowała w inszych pokojach Hospodarowa Jejmość. Hospodar zaś Jmci P. Tymosza zięcia swego *iterum atque iterum* (raz po razie) upraszał, aby jadł, pił i wesoł był; dopiero on nachyliwszy się do P. Kutnarskiego po cichu te słowa wyrzekł: Dziękuję wielce Hospodarowi Jmci, jest wszystkiego dostatek, *czohosz bolsze potrzeba?* dał P. Bog słowo usłyszeć. Muzyka dopiero turecka grać poczęła, za zdrowie Chmielnickiego, i za zdrowie konjunkcyj domów pić, z dział bić. Posłał P. Tymosz po muzykę swoją, po organistę, skrzypków trzech, i puzonistę; zagrali mu po polsku, dopiero począł być wesoły, i kozakom w taniec pójść kazał, którzy się jako bydło do pokoju cisnęli, pili aż godzinę w noc, ale kozaczki zawczasu do gospod przystojnie odprowadzili, bo bojarki coś im były przymówiły, ale jedna kozaczka na imię Halszka Karpicha, bardzo była licha, która bojarkom przy Hospodarowéj mówiła: Czy na kiepstwo my do was przyjachały? *koli wy pyszniéjsze nad nas, czemusz doczku swoju za kozaka dajete?* a jeszcze słowa te wprost rzekła, potem idąc po wschodach, zwaliła się bo tłusta była i pijana, tamże ją ledwo do karety zaprowadzono; drugie się przecie na nogach trzymały, a ile razy woźnica i łogoszowy Hospodara Jmci kozaczki do gospod ich odwozili, tyle orzechów onym kontentacyi dawali. Potym P. Młody porwawszy się od stołu szedł

do pokojów swoich i żony. Nazajutrz P. Tymosz i drugiego dnia z pokojów nie wychodził. We srodę w pole wyjachał na przejażdżkę. We czwartek Hospodar Jmć i Hospodarowa Jejmość, Dumna Roksanna i P. Tymosz także też bojarowie i bojarki w pokoju u stołu siedzieli, rzadko którego tam puszczono, bo panny fraucymerne Hospodarowi Jmci do stołu służyły. Szedł P. Tymosz z żoną swoją w taniec, któremu Wyhowski i Tetera służyli; potem mu Hospodar Jmć za tę pracę sztuczkę złotogłowu podarował, ale za to i ukłonić się nie umiał. Tegoż dnia rano P. Tymosz Hospodara Jmci i PP. Bojarów znaczniejszych upominkował. Hospodarowi Jmci sorok soboli podarował, żonie swojéj szubkę adamaszkową sobolą, Bojarom zaś po sto talarow lewkowych o które podarunki dumni panowie mniej dbali. Hospodar zaś Jmć darował swemu P. Zięciowi cztery konie, dwoch tureckich z siedzeniem a dwoch rumaków wołoskich. Poseł też był od Hospodara Jmci Multańskiego, który mu konia tureckiego z siedzeniem ofiarował, a pani Hetmaniczowej kobierzec i sztuczkę złotogłowu; inszych posłów nie było. Posagu za córką Hospodar Jmć dał 20,000 talarow prócz inszej wyprawy, a z osobna 2,000 czerwonych złotych, karetę, skarbnych wozów i inszych rzeczy wiele, mając wzgląd na córkę swoją. Wyhowskiemu darował 10 łokci aksamitu, 20 łokci atłasu, błam futra rysiego i 300 lewkowych. Teterze 10 łokci axamitu, 10 atłasu i 150 lewkowych. A drugim assawułom, setnikom pieniędzy dawano, których się bez wstydu upominali. W piątek 6 Septembris z Jass wyjachał którego Hospodar Jmć do tego miejsca wyprowadzał, gdzie się z nim witał. Jechała i Hospodarowa Jejmć z paniami bojarkami, gdzie z koni zsiadłszy żegnali się, a jak długo Hospodar Jmć z zięciem się swoim żegnając rozmawiał, tak długo Rozanna Hospodarową Jmć obłapiając rzewnie płakała, potem przyszła do Hospodara, aby go pożegnała, którą Hospodar Jmć pocałował, pokazując wesołą twarz, ale serce żalem obciążone ledwie mu mówić dopuściło. To potem bojarki i bojarowie żegnali się. A P. Tymosz, jeszcze Hospodar Jmć stał *nudo capite*, (z odkrytą głową) wsiadł na koń, i czapkę nasunąwszy pojechał, Hospodar zaś Jmć zbywszy takiego gościa powrócił do miasta.

(Z rękopismu Biblioteki Willanowskiéj),

St. Przyłęcki.

SCHUBART I WSPÓŁCZEŚNI.

ROMANS HISTORYCZNY NAPISAŁ A. E. BRACHVOGEL

(Streszczony z niemieckiego przez Józefę Śmigielską.)

(Dalszy ciąg.)

Helena milczała pełna niepokoju choć tylko domyślała się projektów męża, którego ponure usposobienie wzrastało z każdym kół obrotem. Ciasne ulice Geislingu ograniczone twarze jego mieszkańców, brudne dzieciaki, złośliwe miny teścia i teściowéj, wszystko w téj przerażającéj duchowéj pustyni, wydało mu się, jeżeli można, ciaśniejsze, głupsze, brudniejsze i złośliwsze. Do tego zastał jeszcze prowadzone przeciwko sobie śledztwo konsystorza Ulmeńskiego, co do pewnych powinszowań jakie dawniéj napisał, a które się wydały uszczypliwe i zdrożne.

Trzeba więc znowu było uniewinniać się i upokarzać żeby nie stracić chleba. Naturalnie, że te zajścia, nie dodały słodyczy jego małżeńskiemu pożyciu. Przecież jednak błysło słonko lepszego losu z Eilwangen. Książe biskup, który zawsze był dla niego łaskaw, pisał mu, że się spodziewa wkrótce przenieść go bliżéj siebie, na lepszą posadę, gdzie będzie mógł rozwinąć i spożytkować swoje wszechstronne zdolności. Niedługo potém nadszedł też list od Hauga, z doniesieniem że wakuje posada dyrektora muzyki i organisty przy katedrze, oraz wzywający Schubarta, żeby odpisał co rychło czy przyjmie lub nie?

Schubart uczuł radość która była nieco do przerażenia podobną. Czy potrafi odpowiedzieć godnie takiemu zajęciu, czy wytrzyma zacięty opór rodziny, która go nie zechce puszczać do stolicy? A może też oddziałały nieco na niego wyobrażenia Heleny, którąby miała niezawodnie za coś grzesznego, porzucenie ambony dla orkiestrowego pulpitu. Lecz Krystjan nie był to człowiek do zimnéj rozwagi, zatliła się w nim żądza sławy i zawołał z mocném postanowieniem: daléj! do Ludwigsburga. Przeczuwając nieukontentowanie żony postanowił jéj nic nie wspominać dopóki nie będzie miał posady zapewnionéj.

„W piątek przed Kwietnią Niedzielą, po południu, trzy pakowne powozy i jedna fura z tłomokami zatrzymały się w Geisling, w gospodzie pod wołem. Za otwarciem drzwiczek pierwszego powozu, wysiadł pięknie zbudowany mężczyzna, lat 36 najwięcéj, z miną pańską lecz uprzejmą. Odwracając się ku zawiniętéj w futro towarzyszce, pomógł jéj wysiąść także z powozu i donośnym głosem wydał rozkazy służbie męzkiéj, która wysadziła niańki i dzieci. Z drugich powozów wysiadło siedmiu młodych ludzi. Tak dworno jadący podróżni byli rzeczą nadzwyczajną w Geisling, lecz jeszcze

mniéj zwyczajny tytuł radzcy tajnego, który przybyłemu panu dawali otaczający.

Więc jest to człowiek, który rządowi tajemnych rad udziela mówili Geisliczanie, przejęci bałwochwalczem uwielbieniem i podziwem. Szkoda tylko, że tak możny pan, ma jedno oko, musi on jednak tém jedném lepiéj widzieć niż zwyczajny człowiek dwoma.

Goście rozłożyli się w najlepszych pokojach, pan radzca zamówił sam sutą kolację z winem i zapytał gospodarza, czy daleko do mieszkania nauczyciela Schubarta.

— Schubarta? co to ma Helenę córkę celnika Bühlera?

— O to się nie troszczę, lecz chcę odwiedzić nauczyciela Schubarta rodem z Aalen, sądzę że tu nié ma dwóch tego nazwiska. Zaprowadźcie mnie do niego, proszę.

— Tak, tak, jakiż ja niedołęga! zaprowadzę sam waszą miłość.

Gospodarz wpadł pospiesznie do kuchni, zawołał na żonę, żeby przyrządzała pieczeń i opowiedział zdziwiony, że pan radzca nie zapytał o starostę, ani o pastora, ani nawet o burmistrza, ale do Schubarta kazał się zaraz prowadzić.

— To mu sprawią łaźnię, mówiła kręcąc się koło komina gospodyni. Wyrzucą biedaka jeszcze przed nowym rokiem. Biegnij Zofjo do pana starosty, może on co temu przeszkodzi. Dalej dziewczyno, śpiesz się!

Pobiegła tedy dziewczyna służebna, rozpowiadając każdemu po drodze straszną wiadomość, że przyjechano zabrać pana Schubarta, gospodarz zaś zwłócząc jak mógł, prowadził przybyłego do mniemanéj ofiary. Wiedziano bowiem że śledztwo prowadzone przez konsystorz Ulmeński skończone nie było, a że w owych dobrych starych czasach, choć o sprawiedliwość było trudno i sądy zwykle długo się wlekły, wyrok zazwyczaj bywał srogi i szybko wykonywany, jak gdyby sędziowie początkową opieszałość swoję nagrodzić pragnęli, mieszkańcy Geisling wyobrazili sobie, że przybycie tak wielkiego pana znaczyło nieszczęście, które się miało zwalić całym ciężarem swoim na głowę Schubarta. Wieść ta, szybko obiegła miasteczko i coraz więcéj ludzi ciekawych rozwiązania, zaczęło otaczać radzcę, który postępował zwolna, oglądając się z powagą na obie strony, do mieszkania nauczyciela. Ten skończywszy dzienną pracę, siedział przy klawikordzie, szukając uciszenia umysłu w granych przez siebie melodjach. Nagle drzwi się otworzyły i wpadła teściowa.

— Heleno, Heleno! nieszczęśliwa kobieto! Nie masz już gdzie się podziać z twojém robactwem. Bez dachu, bez chleba, wyjdziesz na żebraczkę, mocny Boże! do tego cię przywiódł ten ladaco; ten... — Wstań i spojrzyj, już ci to dawno prorokowałam. Przyjechał tajny radzca rządowy, wysłany z Ulmu z siedmioma tęgiemi drabami, ażeby zabrać twego najdroższego Krystjana i wsadzić go do ciupy jak na to dawno zasłużył, ale ciebie na bruk wyrzucą. Masz za to, żeś się takiemu ladaco na szyję rzuciła.

Schubart zerwał się od klawikordu i drżał całém ciałem; Helena stanęła jak skamieniała, chwytając się za róg stołu, żeby nie upaść. Nim oboje zdołali przyjść do siebie, dały się słyszeć przed szkołą głosy nadchodzących; nie było już więc nad czém się naradzać, nastała krótka chwila drżącéj niepewności, a gwar coraz się zbliżał, liczne twarze przycisnęły się do szyb nizkich okien. Zapukano. Schubart zaledwie dosłyszanym głosem odpowiedział: „wejdźcie.“ W towarzystwie gospodarza z pod wołu wszedł radzca, przystanął we drzwiach i zwracając swe poważne oblicze ku Krystjanowi, przypatrywał mu się bacznie.

— Widzę że wyobraźnia moja przedstawiła mi ciebie bardzo wiernie. Tak wyglądał mój *Ixion*, rzekł uśmiechając się.

— Panie — panie radzco stanu, ja — ja doprawdy nie wiem.

— Zapewne że nie wiecie, bo to właśnie miała być niespodzianka...... *Agathon* przychodzi do *Ixiona*.

— Wieland! krzyknął Schubart. Wszechmocny Boże! wszak to wielki Wieland do mnie przychodzi.... I zapłakał, wzruszony, biegnąc ręce gościa uściskać. Ale zkądże, dla czego?...

— Nie pytaj się przyjaźni dla czego, odparł ściskając go Wieland. Jadę z żoną, dziećmi i siedmioma studentami z Biberach do Erfurtu, gdzie mnie wezwano na profesora filozofji i dano przytém tytuł radzcy stanu. Nie mogłem więc pominąć Geisling.

— Odwiedziny twoje szanowny przyjacielu, dziś bardziéj niż kiedy stały się dla mnie zaszczytne i przynoszące pociechę. I poruszeniem głowy wskazał na ciekawe oblicza przez drzwi i okna zaglądające To jest Geisling, szlachetny przyjacielu, to moja żona i jéj szacowna matka. Przekonasz się w niedługim czasie, czy nie jestem prawdziwym Ixionem, czy w tych stosunkach duch mój może rozpiąć skrzydła i czy nie jestem zmuszony pełzać zawsze, jak robak nikczemny, bo nie ma dla mnie spokojnego na ziemi kącika, w którymbym mógł snuć z siebie godny mego przeznaczenia materjał.

Nastała chwila milczenia kłopotliwa tak dla Wielanda, jak dla obydwóch kobiet, które zarumieniły się po uszy. Ciekawcy z pod okien zdziwieni takiém, rzeczy rozwiązaniem rozeszli się pomału.

Wieland zaprosił Schubarta na kolację i wyszli oba pod ręce się trzymając, a mieszkańcy Geislingu, którzy mieli patrzeć na hańbę swego nauczyciela, przypatrywali się teraz jego chwale.

Pierwsze wrażenie, jakie na nas druga wywiera osoba, jest zwykle decydujące, szczególniéj jeżeliśmy już mieli w wyobraźni gotowy jéj obraz. Otóż tutaj przy poznaniu zaszła w dawnych usposobieniach odmiana. Wieland

wprawdzie domyślał się że znajdzie nieszczęsnego bakałarza z ognistym umysłem, ale spodziewał się po nim mniéj szorstkości, a godności więcéj. Piérwsze spojrzenie objaśniło mu, że wszedł podczas kłótni domowéj, co pospołu z szyderskiemi słowami Schubarta, niezmiernie raziło wykwintne nawyknienia, eleganckiego twórcy *Agathona*. Schubart przeciwnie mający więcéj prostoty i entuzjazmu, oddał się cały błogiemu wrażeniu, jakie mu słowa przyjaźni przyniosły.

Rozmawiali późno w noc o sztukach o kierunku umysłów w literaturze, w obec małżonki Wielanda, niepięknéj, ale pełnéj wdzięku w obejściu, jaki odznacza kobietę dobrze wychowaną. Wieland przemawiał za formą taką, jaka odznaczała jego pisma, przyjemną elegancką, Schubart właśnie robił mu zarzut z tego tonu miękkiego, który czarował roskosznie, ale nie porywał. „My potrzebujemy bardzo (mówił) słowa porywającego, płynącego niby ognistym strumieniem, żeby zwątpiałą ludzkość odrodzić. Nie należy nam potępiać namiętności, bo to rumak skrzydlaty, który dobrze okiełznany do Nieba prowadzi. Musimy pędzić na nim na złamanie karku.“

Wieland to uśmieszkiem odpowiadał na zarzuty, to je nawzajem czynił Schubartowi, dowodząc że jemu łatwo wpaść w szaloną przesadę, w trywialność, w wybryki jego indywidualności właściwe, które żadną miarą nie mogą być cechą wielkiego pisarza. „Sztuka bowiem, winna malować życie oświecone czystém światłem wiekuistéj prawdy i piękna.“

Pani radczyni znalazła dowodzenia Schubarta w zupełnie złym tonie i oddaliła się do swego pokoju, a Schubart mówił daléj z rozognionéṁ obliczem: „Jestem może dziki, szalony, nieokrzesany, ale za nic w świecie nie dałbym sobie odjąć téj boskiéj iskry, wszystkiém owładającéj namiejętności, tego gwałtownego, wrzącego uczucia, ze wszystkiemi burzami jakie ono sprowadza; serce bowiem to lutnia, która wiecznie brzmieć musi.“

Nie porozumieli się więc i dość chłodno rozstali, a korrespondencja tak gorliwie przed osobistém poznaniem prowadzona ustała. Taki był koniec krótkiéj przyjaźni pomiędzy przedstawicielami dwóch przeciwnych kierunków, które w literaturze nową rozpoczynały erę i miały oba rozwinąć się zwycięzko, lubo wprawdzie przez innych pracowników.

Schubart ostatniém zajściem z rodziną coraz bardziéj zniechęcony, stanowczo zapragnął przenieść się do Ludwigsburga, lecz zewsząd naciskały go przeszkody i przyprowadzały do ostateczności. Teść napisał do duchowieństwa wirtemberskiego, oskarżając go o nałóg pijaństwa, żona płakała i rozpaczała lękając się dla męża pobytu w stolicy, ojciec groził, że nie zechce o nim więcéj słyszeć, skoro się tam przeniesie i zrzuci sukienkę duchowną. Cały ten opór Schubart lekceważył, ale najwięcéj cenił szwagra przedstawienia. Temu się tłomaczył „i usprawiedliwiał“ czuł bowiem że poczciwy Böck jasno widział w jego duszy i że do Ludwigsburga rwała go nie tyle nadzieja zapewnienia bytu rodzinie, lub téż chęć postępu w literackiéj karjerze, ile powab życia niezależnego wśród świetnych towarzystw stolicy.

Były to właśnie czasy w których Mesmer, Cagliostro, Swedenborg, łudzili wywoływaniem duchów, przepowiadaniem przyszłości za pomocą magnetyzmu zwierzęcego. Schubart skłonny do zabobonu przez swoją wiarę w przeznaczenie, radził się raz pewnéj jasnowidzącéj, która mu na wstępie kazała się strzedz *Aschenberga**). Na zapytanie w jakiém miejscu będę najszczęśliwszym? odpowiedziała: „w Ulmie.“ To zrobiło wielkie na Schubarcie wrażenie które zaledwie zatarła radość z nadesłanego przez Hauga patentu, na otrzymaną nareście posadę. Zabierał się więc rzucić na zawsze swoje dotychczasowe zajęcie, ale czekała go najstraszniejsza scena z żoną, któréj się wydawało, że mąż jadąc na dyrektora muzyki, popełnia coś tak bezbożnego i poniżającego, że ona ani tego cierpieć, ani w tém udziału mieć nie powinna. Przesadzona ortodoksja, nieuctwo i porywczość, doprowadziły ją do tego, że go zarzuciła potokiem najobelżywszych wyrazów. Tego już było zanadto dla zdrażnionego; uderzył ją nieszczęsny, na co wpadli starzy Bühlerowie, zabrali córkę i dzieci, skarżyli do policji, grozili rozwodem, chcieli przyaresztować wszystkie ruchomości zięcia.

— Bierzcie wszystko wołał Krystjan ze łzami, ale niech raczéj umrę jeżelibym chwilkę dłużéj miał tu pozostać. I zapakowawszy rzeczy i bieliznę, wyniósł się natychmiast do gospody *pod Barankiem*, gdzie piérwszą noc swego pobytu w Geisling przepędził. „Szneider i kilku przyjaciół, chcieli go rozweselać resztę dnia przy winie, ale był zbyt zgnębiony żeby im placu dotrzymał. Jego serce szalonemi wybrykami szarpane, a jednak przytém pełne nieskończonéj miłości cierpiało mocno. Usiadł samotny przy oknie i przemarzył do późnéj nocy, patrząc w gwiaździste niebo, niepokojąc się i tęskniąc jak dziecko; rzucił się potém cały ubrany na łóżko, ażeby szukać ulgi w śnie, tym starym lekarzu wszystkich moralnych cierpień.

W tém drzwi się odemknęły i cichy głos wyszeptał jego imię.

— Helena! zawołał.

Żona łkając padła w jego objęcia, przyszła bowiem wykradłszy się potajemnie z rodzicielskiego domu.

— Nie mogę cie porzucić Krystjanie, chociaż mi tak bardzo dokuczasz. Nie opuszczaj mnie i dzieci, cóż one winny? Wolę z tobą nędzę i wstyd, niż największe szczęście bez ciebie. O mężu, bądz chrześcjaninem i nie odpychaj nas od siebie.“

*) Miejsce więzienia w Wirtembergu. (Prz. tł.)

Krystjan przebaczył i pogodzili się, co dowodziło, że mimo złość ludzką kochali się wzajemnie.

Stanęło, że Helena z dziećmi pojedzie do Ludwigsburga, skoro mąż przygotuje mieszkanie.

W następnym rozdziale widzimy Schubarta wraz z żoną i dziećmi w Ludwigsburgu, oddającego się poezji i muzyce. Trudno wprawdzie jego szorstkiéj naturze przywyknąć było do francuzkiéj ogłady, jaka panowała w salonach, jednakże bywał wszędzie zapraszany. Zgubą dla niego było towarzystwo pani Königseek dawnéj Melanii Wimpfen, które się składało z intrygantów obojéj płci. Nie odwracał się jeszcze jednak od cichego domowego życia. „Cóż znaczą maskarady, bale, opery i wszystkie roskosze tego świata, mówił, w obec szczęścia posiadania przyjaciela przy boku i czystego sumienia w piersi. Helena poznawszy wykształceńsze kobiéty starała się im sprostać z wielką radością męża. Schubart założył wraz z Haugiem towarzystwo czytania, w którém wzięły udział wszystkie znakomitości arystokratyczne i naukowe, idąc za obyczajem wielu „pisał pochwalne mowy dla swoich protektorów. Tak przeszło lato 1770 roku, jedno z piękniejszych i poetyczniejszych jego życia. W tym czasie dorobił do jednéj opery muzykę, a chcąc jéj zjednać powodzenie i zwieść dyrektora teatru włocha Jomellego, podpisał ją pseudonimem *Trabuschi*, lecz muzyka po odkryciu prawdziwego nazwiska, nic nie straciła w oczach niemców i Schubartowi dała niemałe powodzenie.

Tymczasem książe Eugeniusz w obec Rödera wyznał swoją miłość Franciszce von Leutrum; ona przyrzekła być jego przyjaciołką, gdyż wierną zobowiązaniom żony pozostać pragnęła. Książe za jéj poradą doprowadził do skutku założenie szkoły dla siérot po wojskowych, słowem w każdym jego postępku, czuć było wpływ kobiéty kochającéj, co go natchnęła. Kończyły się właśnie ozdobne budowle w *Solitude* i książe mianował dawnego kapitana Schillera inspektorem ogrodów. Posada była korzystną, musieli więc Schillerowie wyjeżdżając do *Solitude*, rozdzielić się z synem Fryderykiem, którego zostawili w szkole Jahna, a książe opłacał za niego. Młody Fryderyk nic nie donosił rodzicom, że był bardzo dręczony niedelikatném a nawet srogiém obchodzeniem niektórych nauczycieli, lecz nawykł szukać pociechy w czytaniu i w śmiałym młodzieńczych myśli polocie. Religijnie wychowany przez pobożną matkę, najgoręcéj pragnął oddać się nauce teologji. Bogu całe życie poświęcić, zalecać z kazalnicy miłość bliźniego, prawdy i piękna, wydawało mu się najszlachetniejszém zadaniem. Dlatego też pracował usilnie nad nauką języków starożytnych, oraz badał niemiecki i podczas kiedy kij profesora groził jego plecom, on żył w świecie myśli, który sam z siebie wysnuł. Piérwsze jego literackie pomysły krążyły jeszcze w granicach biblji, że zaś Jahn lubił łacińskie wiérsze, takiemi napisał swego *Mojżesza* i pozyskał łaski srogiego rektora.

Jakże bywał szczęśliwy, kiedy w sobotę po południu jechał do rodziców i rzucał się w ich objęcia! Czasem spotykał go książe i mówił z nim uprzejmie, Fryderyk obawiał się go, ale czuł zarazem, że jest u niego w łaskach.

Bawiono się wesoło w Ludwigsburgu, książe chciał się rozrywać, bo ciężki smutek serce mu przygniatał. Kochał coraz bardziéj Franciszkę, a musiał to cierpiéć, że ona była żoną drugiego. Baron von Leutrum zaczął też żonie wymawiać jéj przychylność dla Karola i posądzać ją jak najnikczemniéj. Na jednéj z maskarad dworskich, intryganci, którym wpływ Franciszki zawadzał, przestrzegli go i opowiedzieli nie bywałe rzeczy. Żona przyznała mu się, że kocha Karola, ale jest tylko dlań siostrą i pamięta co winna obowiązkom małżonki.

— Mościa pani, rzekł pomiędzy innemi baron przyszedłszy do pokoju Franciszki, nie mam wcale ochoty rozmazywać przed sądami téj całéj historji, ale klnę się Bogiem, że póki ja żyję, nie opuścisz mnie z mojém przyzwoleniem, i nie oddam cię księciu. Słuchaj! albo już go więcéj nie zobaczysz i pojedziesz ze mną za tydzień do dóbr naszych, albo narobię hałasu, udam się do samego cesarza po sprawiedliwość, bodajbym miał stracić połowę majątku. Nie pożałuję niczego dla zabicia miłości waszéj.— I wyszedł dodając, że spodziéwa się dzisiaj odebrać od niéj bilecik.

Rzeczywiście w godzinę potém, służący oddał mu następujące pismo:

„Panie baronie, jadę z panem za dni kilka na wieś, a ponieważ nie chcę przez ten czas opuszczać mego pokoju, rozpowiedz u dworu, żem słaba."

— Dobrze, krzyknął Leutrum, dobrze się sprawiłem. A co mości książe, jak ci się to podoba?

Skoro się hrabia Röder z Barnbühlerem zameldowali do baronowéj, przelękli się dostrzegłszy zmianę jej oblicza.

— Co to jest, szlachetna pani? pytali.

— Ach! mówić o tém jest mi męczarnią. Ledwo zdobyć się mogę na zachowanie przytomności umysłu i choć zewnętrznych godności pozorów. Nie wymagajcie odemnie objaśnień. Proście księcia, aby był spokojny, aby szanował moję boleść i moje imię.... Niech mnie zapomni! Jest to ostatnia łaska, którą mi może wyświadczyć.

— Żeby książe was zapomniał, zawołał Barnbühler, to niepodobna! to jego wyrok śmierci.

(D. c. n.)
